Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 11. Września 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 37.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZŁOTA NITKA

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

(Ciąg dalszy.)

Dla różnych przyczyn bywałam potem u Olińskich bardzo często. Felicję poznałam w czasie drugich tam moich odwiedzin. Ile lat miała wtedy, nie wiem dobrze. Nie musiała być bardzo młodziutką, gdyż od lat już dziesięciu była zamężną, a jednak nie myliłam się, mówiąc p. Adamowi, że kibić jej i wszystkie poruszenia posiadały uderzające piętno dziewiczości. Widząc ją zdala, jak w skromnej sukni i gospodarskim fartuszku, z włosami gładko uczesanemi a z tyłu głowy zwiniętemi w jeden połyskujący warkocz, chodziła po pokojach mieszkania, czynna, wszystkim usługująca, żywa i lekka, można ją było wziąć za młodziutką córkę domu, pannę, która nie dosięgła jeszcze dwudziestu wiosen życia. Młodzieńczość ta — a najdokładniej — dziewiczość jej postaci wynikała może tak z wielkiej prostoty i skromności ubioru i układu, jak z delikatności i doskonałej harmonji kształtów. Profil jej twarzy, delikatny, czysto grecki, z linją nosa prostopadle od czoła spływającą i łagodnem wygięciem różowych ust, nadawały jej także pozór pierwszej młodości. I wtedy dopiero, gdy się na nią prosto, twarzą w twarz spojrzało, objawiała się w niej nie dziewica już ale kobieta, kobieta której piękne czoło nie miało atłasowej gładkości liljowego liścia, ani oczy podłużne, z wielką szafirową źrenicą, spokojnych błękitów wiosny, owszem, cera jej bardzo biała z natury, zmęczoną trochę była i zbladłą, a spojrzenie przeciągłe, przenikliwe, z gorącemi blaskami na dnie, zdradzało upalne południe życia, pełnię uczuć zarówno jak myśli. Najpiękniejszą była wtedy, gdy mówiła lub śmiała się, bo głos jej był dźwięczny i elastyczny, gra fizjonomji żywą a zapał lub wesołość krzesały w jej oczach prawdziwe ogniska iskier.

Śmiała się właśnie, gdy do salonu Olińskich wchodziłam i z drugiego pokoju słyszałam już perłowe, krótkie gamy jej śmiechu. Przyczyną wesołości jej był dwunastoletni Mieczyś, który pochwycił ją pośrodku salonu i niosącą tacę ze szklankami pełnemi kawy, ściskał ją i całował z wielkiem dla niesionych przedmiotów niebezpieczeństwem. Zlękła się znać o swoją kawę staruszka matka, bo zwykłym sobie głosem, do tonu bolesnej skargi podniesionym, zawołała:

— Ty bo, Felciu, tego dzieciaka tak rozpieściłaś, że momentu spokojności...

— Bo Felcia, mamo, chce go według mądrej jakiejś metody wychowywać — przerwała p. Michalina ze skośnem i błyszczącem na bratową spojrzeniem.

Śmiech Felicji umilkł, niby szmer pereł nagle rozerwany. Usunęła dziecko od siebie i postawiwszy tacę na stole, zaczęła roznosić szklanki z kawą. W tej chwili spostrzeżono wejście moje i ogłuszono mię formalnie powitalnemi wykrzykami. Radość z przybycia gościa bywała tam zawsze taką, jak gdyby naprawdę i za każdym razem sprowadzał on z sobą do domu Boga. Pan Józef, który powstał był od preferansowego stolika, przedstawił mi żonę swoją. Uścisnęła mi rękę ciepło, serdecznie, popatrzyła na mnie swem przeciągłem, błyszczącem spojrzeniem i znowu kawę roznosić zaczęła. Służby, rodzina liczna i choć zamożna, ale nie bogata, posiadała znać nie wiele.

Geografja i topografja salonu były w chwili tej następującemi: W samem centrum królował stolik kartowy, przy którym siedzieli: gospodarz domu, matka jego i pani Skwierska. Grano tu we troje, bo Ludwik Okimski wyemigrował ku podłużnemu stołowi, umieszczonemu pomiędzy kanapą a fotelami, na których siedziały panny, Michalina i Emilja, dwaj gimnaziści i p. Teofil Siekierski, każda z tych osób trzymała w ręku karty i wraz z innemi grała w »bałamuta.«

U okna, z twarzą zasłoniętą arkuszem gazety siedział wuj, ex-proboszcz, a o parę kroków od niego ciotka Liniewska wyszywała na siatkowej serwecie żółtą czy czerwoną różę.

Przybycie moje przerwało znowu zwykłą znać poobiednią zabawę, a gdy usiadłszy obok staruszki słuchałam opowiadania jej o nadzwyczajnej skuteczności lukrecji przeciw kaszlowi i dowodzeń pani Skwierskiej o niezaprzeczonej wyższości nad lukrecją owsianego cukru, przy podłużnym stole przed kanapą Okimski pokazywać zaczął pannie Michalinie sztukę nie z kartami już ale z nożami dokonywaną, gimnaziści przechyleni nad stołem odbywali nad tą sztuką żarliwe i głośne studja, a p. Teofil półgłosem deklamował p. Emilji, wyczytany w którémś z pism perjodycznych, najświeższy wiersz o sercu, które pękło. Przytem odbywało się ogólne a zawzięte picie czyli jedzenie kawy. Na każdym ze stołów Felicja umieściła kosze pietrzące się różnego rodzaju pieczywem i garnuszki śmietanki żółtemi kożuchami przyobleczonej. Wszystkie ręce poruszały się około szklanek, koszyków i garnuszków, wszystkie szczęki poruszały się także, nie przeszkadzając bynajmniej poruszaniu się języków. Jedzono tyle prawie ile mówiono. Przy podłużnym stole śmiano się też ze sztuk Okimskiego, a ze śmiechem tym splatała się tylko jedna rzewna nuta, nuta o sercu, które pękło, przytłumiona

trochę jedzeniem napełniającem usta opiewającego je barda.

Po długich prośbach moich a energicznych protestacjach zbiorowej strony przeciwnej, towarzystwo zgodziło się na kontynuowanie zabawy swej, czyli na dalsze granie w karty. Wtejże chwili Felicja stanęła przy mnie i giestem wskazała mi na stronie stojącą kanapkę. Przedmiot do rozmowy nastręczał się sam przez się. Miałyśmy wspólnego znajomego. Siadając obok mnie zaczęła:

— Bardzo pragnęłam poznać panią. Od p. Tarnickiego słyszałam o pani wiele... Jest on szczerym pani przyjacielem.

Mówiła to uprzejmie, wielkiemi swemi głębokiemi źrenicami, śmiało i spokojnie w twarz mi patrząc. Powiedziałam jej, że p. Adam jest jednym z ludzi, których przyjaźń nietylko cieszy ale i zaszczyca.

— Pani wiesz o tem zapewne lepiej i dokładniej odemnie — odpowiedziała.

Rada, że dobrze mówić mogłam o przyjacielu moim, opowiadać zaczęłam o znanych mi zblizka, a przez Tarnickiego dokonywanych usiłowaniach, podniesienia skali tak rolnictwa krajowego, jak bytu i moralności wiejskiego ludu; o wytrwałości, z jakiemi głosił on i szerzył naukowe i społeczne przekonania swe, wbrew spotykającym go za to licznym przykrościom i stratom; o domu jego, który dla dość szerokiej przestrzeni i znacznej liczby ludzi, jedynym był ogniskiem oświaty, postępu, zachęty...

Mówiąc o tem wszystkiem spostrzegłam, że im dłużej mówiłam, tem więcej cera, postawa i zwrok słuchającej mię kobiety ożywiały się i nabierały wyrazu, zdradzającego doznawane uczucia szczęścia i dumy. Opowiadanie moje czyniło ją najwyraźniej szczęśliwą i dumną. Policzki jej opłynęły bladym rumieńcem, oczy zajaśniały pogodnem światłem. Mimowolnym ruchem podnosząc głowę, a kształtne, suche nerwowe ręce z entuzjastyczną radością splatając zawołała:

— O pani! jakie to szczęście, że są w świecie ludzie tacy...

Prędko jednak i z widoczną wprawą w powściąganiu wzruszeń zawładnęła entuzjazmem swym i spokojnie znowu rzekła:

— Wiedziałam o tem wszystkiem i wprzódy, tylko nie tak dokładnie. Nigdy z nikim o niczem podobnem nie rozmawiam. Ja panu Tarnickiemu także wiele zawdzięczam. Widujemy się rzadko i mówimy z sobą bardzo mało, jednak rozmowy z nim i książki, które mi pożycza, otworzyły mi oczy na wiele rzeczy... chociaż...

Zamyśliła się i po chwili ze zwrokiem utkwionym w ziemię ciszej dodała:

— Chociaż ja nie wiem, czy jest to dobrodziejstwem, oczy komuś otwierać...

— Byłażbyś pani zwolenniczką świętego ubóstwa w duchu? — zapytałam.

— Nie — odpowiedziała prędko — najpewniej nie. Myślę owszem, że bogaci w duchu, to jest ci, którzy wiele czują i wiedzą i myślą, są kwiatem ludzkości, może nawet całą ludzkością, tylko...

Podniosła głowę i z uśmiechem dokończyła:

— Tylko, zdaje mi się także, iż najszczęśliwszemi pod słońcem istotami są — niemowlęta. Ani obowiązków, ani sumienia, ani walki, zupełna obojętność na wszystko co nie jest niemi, kompletna niewiedza. Przytem zawsze są przy nich ramiona jakieś, które ogarniają je, kołyszą i tulą...

Głos jej zadrżał trochę, ale jednocześnie zaśmiała się prawie głośno.

— Oskarżysz mię pani pewnie o zaprzeczanie samej sobie. To prawda. Pełno jest zawsze sprzeczności w ludzkich sądach i żądaniach. Tym razem jednak zdołam może pogodzić dwa moje sprzeczne z pozoru zdania. Godność osobista człowieka i szczęście jego, to przecie rzeczy o wiele różne. Otóż, zdaje mi się, że bogaci w duchu są najdostojniejsi, a ubodzy najszczęśliwsi. Nieprawdaż pani?

Chciałam odpowiedzieć, ale od strony preferansowego stolika ozwał się donośny i skarżący się głos staruszki.

— Felciu! pani Skwierska kawy nie ma...

Powstała szybko i skinieniem głowy przepraszając mię za to, że się oddaliła, wybiegła z salonu. W tejże chwili, przy podłużnym stole przed kanapą powstał gwar i hałas nieopisany. Partja *bałamuta* została skończoną, karta schodząca się do pary z tą, która pod pudełkiem z cygarami schowaną była, znajdowała się w pulchnem ręku Okimskiego. Włożono mu na głowę czepek biały z szerokiem garnirowaniem. Strojem tym przyozdobiła go własnoręcznie panna Michalina, za co złożył on na jej dłoni przelotny pocałunek, poczem, w dowód jakby, że umiał bohatersko przenosić nieszczęście, splótł ręce i z odpowiedniemi poruszeniami ciała i rysów twarzy pokazywać począł jak baby żebraczki, co w kruchcie kościelnej odmawiają pacierze. Naśladował wpół pijaną babę — tak wybornie, że nawet osoby grające w preferansa grać przestały i zaczęły się mu przypatrywać, a p. Józef, zwracając się do mnie, z serdecznem rozweseleniem zawołał:

— Cóż to za nieoceniony komik z tego naszego pana Ludwika!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WSPOMNIENIA I PISMA
Z CZASÓW MOJEGO WYGNANIA

przez

LUDWIKA KOSSUTHA.

(Według tłumaczenia «Wieku»).

(Ciąg dalszy)

Emigracja węgierska w Genui. — Organizacja oddziałów.

W chwili gdy ja byłem zajęty zapewnieniem neutralności Anglii, oficerom węgierskim, będącym zagranicą, wydany został rozkaz stawienia się w Genui, to miasto bowiem obrane zostało na siedzibę tymczasową dla Komitetu Narodowego Węgierskiego.

W Genui zatem zgromadzili się wszyscy oficerowie węgierscy i przystąpili niezwłocznie do organizacji armji, co nie działo się bez pewnych trudności i opóźnień.

Pierwszy „rozkaz dzienny" mógł ukazać się dopiero 16. czerwca.

Ze mną Teleki i Klapka, oraz inni członkowie starszyzny utrzymywali ciągle korespondencję, wyczekując niecierpliwie chwili rozpoczęcia działań wojennych. Korespondencja ta nieskończenie była zajmująca. Pełno było w niej narzekań i utyskiwań na trudności organizacji, jej nie dokładności i przeszkody, nieraz trudne do przezwyciężenia.

22. czerwca przybyłem do Genui.

Było to na dwa dni przed słynną bitwą pod Solferino, którą poprzedziły zwycięztwa odniesione pod Montebello, Palestro, Casteggio i Magenta. Walka była krwawa, ale wyższość taktyki sprzymierzonych, ujawniła się w sposób prawdziwie świetny. Jednakowoż Klapka w liście swoim pisał mi, że według niego, można przypuszczać, iż Austrjacy będą szukać odwetu nad brzegami rzeki Mincio. Żołnierz austrjacki oswoił się potroszę z wojną i można było spodziewać się, że w przyszłości powodzenie może stać się wprost zależnem od stosunku liczebnego stron walczących, który to stosunek niezawsze wypadał na korzyść sprzymierzonych. Według wszelkiego prawdopodobieństwa i cesarz Napoleon zdawał się tak samo zapatrywać na rzeczy; spodziewać się należało, że usiłowaniom naszym tem szczerszego i chętniejszego doda poparcia.

Przypuszczenie to było bardzo słuszne, bo skoro przyszłość zdawała się być niepewną, rzecz prosta, że cesarz powinien starać się otoczyć ludźmi oddanymi tej samej sprawie, a gdzieby ich znalazł więcej i dzielniejszych jak wśród Węgrów? W jego interesie zatem leżało podeprzeć Węgrów skutecznie, tym sposobem bowiem dzielnego i chętnego zyskiwał sprzymierzeńca.

Względy te zdawały się same za sobą przemawiać, a jednak w rzeczywistości, nasza sprawa posuwała się bardzo powoli naprzód. Rozpoczęto wprawdzie organizację oddziałów, dostarczono środków potrzebnych na pierwsze ekspensy, ale i na tem koniec. O wyjaśnieniu naszej sytuacji politycznej, tak dobrze jakby mowy nie było, a przecież była to rzecz główna, podstawowa.

Pośpieszne posuwanie się naprzód wojsk sprzymierzonych, wskutek nieustannych zwycięztw, nie dozwalało moim przyjaciołom podczas bytności mojej w Anglji znosić się bezpośrednio z cesarzem; książę Napoleon, dzielny opiekun naszej sprawy był w Toskanji na czele piątego korpusu armji, zdala od cesarza. W Turynie panowało ogólne przekonanie, że sprawa nasza zależy najzupełniej od zamiarów, jakie ma cesarz, że zamiary były nieodgadnione i liczyć na nie, byłoby rzeczą niebezpieczną; dobra wola Piemontu jedynie nie ulegała wątpliwości. Niepewność położenia dawała się zresztą uczuwać na każdym kroku, w najdrobniejszych nawet okolicznościach. Koledzy moi mieli ściśle określoną i niezbyt rozległą sferę działania, a przecież na nieustanne natrafiali trudności i przeszkody. Listy jakie pisał do mnie generał Klapka i sprawozdania były pełne narzekań z tego powodu. Generał przypisywał ten przykry stan rzeczy tej mianowicie okoliczności, że przyjaciele nasi zanadto byli zajęci własnemi sprawami i że skutkiem tego trudno im było liczyć się z tem co mogło być dobrem dla naszej sprawy, a co szkodliwem. Na złą wolę bynajmniej się jednak nie uskarżał.

Objaśnienia tego rodzaju nie mogły mię rozumie się, uspokoić, przeciwnie dawały mi wiele do myślenia i przyczyniały kłopotu.

Linia demarkacyjna, jaką zdawali się sprzymierzeni odgraniczać własną sprawę od naszej, nie mogła mi być przyjemną. Niespokojność moja atoli zwiększyła się, gdy hr. Władysław Teleki wyznał mi otwarcie, że spostrzega pewne objawy wahania się względem nas ze strony sprzymierzonych.

Jakoż sprawa nasza nie czyniła postępów, a przynajmniej nie rozwijała się w ten sposób, jakbyśmy się spodziewać mieli prawo. Sprzymierzeni przywiązywali ciągle wielką wagę do życzliwej neutralności Anglji. Książę Napoleon oznajmił kategorycznie pułkownikowi de Kiss, że „polityka Anglji jest bardzo niedobra, i że, jeżeli niezajdzie w tym względzie stanowcza zmiana, rzeczy mogą również niekorzystny przyjąć obrót."

W tej właśnie porze ja rozwinąłem działanie w Anglji i powoli postać rzeczy się zmieniała: na widnokręgu politycznym coraz wyraźniej rysować się zaczęła neutralność szczera, istotna i bezwarunkowa. Przyszło wreszcie do tego, że przesilenie rządowe w Anglji zdawało się być rzeczą całkiem prawdopodobną. Wówczas hrabia Teleki pośpieszył do księcia Napoleona i złożył mu sprawozdanie z istotnego stanu rzeczy, dalej zaś zakomunikował toż sprawozdanie Cavourowi oraz cesarzowi za pośrednictwem p. Pietri. Wszyscy przyjęli je z wielkiem zadowoleniem, i prosili, aby mnie zapewniono o ich rzetelnej wdzięczności, za tak gorliwy udział w tej sprawie; nie dodali wszakże mimo to, że w razie gdy usiłowania moje pomyślny skutek uwieńczy, wówczas widownia wojny rozszerzona zostanie do Węgier i nieprzedsięwzięli nic takiego, coby dozwalało takiej ewentualności się spodziewać. Każdy list otrzymany z Włoch utwierdzał mię w tem mniemaniu, że do obecnej chwili wszystkie usiłowania sprzymierzonych dążyły do tego tylko, aby emigracja węgierska działała w sposób rozkładowy na czynnik węgierski w wojsku austrjackiem, co jednak nie pociągało w zamian indentyfikowania i zespolenia sprawy węgierskiej z włoską. Spostrzegłem też niebawem, że skutkiem takiej manifestacji przyjaciele moi w Genui w fałszywem znajdują się położeniu, i uważałem za właściwe przypomnieć im i zwrócić uwagę ich na to, że wszystkie nasze dążenia i usiłowania, czy wielkie czy maluczkie, jedno mają na celu, mianowicie aby sprzymierzeni otwarcie sprawę węgierską połączyli ze sprawą włoską.

„Postępując inaczej, pisałem, działalibyśmy wbrew interesowi ojczyzny naszej. Zachęcając żołnierzy węgierskich do opuszczenia austrjackich szeregów, ułatwimy tylko zwycięztwo sprzymierzonym, którzy już żadnego potem nie będą mieli powodu bić się za naszą sprawę. Rola *condottierów* nie przystoi nam. Miejmy się na baczności!

„Jeżeli sprzymierzeni zdołają dość szybko celu zamierzonego dopiąć, wyzyskawszy nas opuszczą i pozostawią samym sobie. Użyli oni mojej osoby: moich wpływów, aby uzyskać bezwarunkową neutralność Anglji. Zadanie to arcytrudne spełniłem w tej chwili, sprzymierzonym oddałem nieobliczoną przysługę, z osobistem zaparciem i poświęceniem się, z narażeniem licznych, życzliwych i serdecznych stosunków, jakie mam w Anglji.

„Kiedy przystępowałem do tego dzieła, wiedziałem dobrze, że jest ono połączone z poświęceniem, ale bądźcobądź poswięcenie to było osobistem, poświęcić miałem tylko siebie i swoje sprawy, a do tego dla dobra kraju zawsze jestem skłonny i gotowy. Ale jeżeli tak dalej pójdzie, jeżeli dalej poświęcać się będziemy, a wzamian nic nie otrzymamy, to już będzie poświęcenie nietylko nas samych, ale i naszej sprawy. Na to pozwolić nie możemy.

„Nie chcę powątpiewać o dobrej wierze sprzymierzonych, ale zdaje mi się, że zanadto przywiązują oni wagi do trudności, mogących wyniknąć z powodu dyplomacji zagranicznej, a zamało do korzyści, jakie osiągnęliby zapewniwszy sobie współudział Węgier.

„Jeżeli tak jest, wielka to z ich strony omyłka, błąd wielki.

„To też jest rzeczą naszą, aby ich dobrze o tych korzyściach przekonać. Sprawa nasza tego wymaga.

„Nie przychodzimy z supliką, pragniemy uczynić *zamianę*.

„Nie należy przypuszczać, że w razie, gdy ustąpimy bodaj na włos, gdy co gorsza przyjmiemy usłużnie fałszywą pozycję, jeżeli prosić i błagać będziemy i cierpliwie znosić, gdy nas usuwać zechcą na stronę, że wówczas ustępstwa przyczynią się do polepszenia sytuacji, a trudności i niewygody zostaną wyrównane. Przeciwnie, oddziała to w sposób ujemny na naszą sprawę — i koniec końcem możemy zajść tą drogą pochyłą na ten poziom, na jakim np. znajdowali się Polacy podczas kampanji krymskiej.

„Nie. Interes i tylko interes decyduje o wszystkiem w ostatniej instancji.

„Jeżeli interes ten nakazuje sprzymierzonym liczyć się z nami, nic nie ryzykujemy, stojąc twardo i niewzruszenie,, a ustępując tylko tam gdzie sprzymierzeńcy gotowi są działać solidarnie i naszą sprawę łączyć ze swoją. Jeżeli ten interes nie istnieje albo jest słabszy aniżeli względy, które go przeważają, (a najważniejszy z tych względów, mianowicie tajemne knowania dyplomacji angielskiej, zdołałem właśnie zniweczyć), wówczas kompromitujemy się tylko ustępstwami, a kraj łudzimy nadziejami, które się nie ziszczą."

Uwagi w tym duchu, które przesyłałem, podczas bytności w Anglji, moim kolegom, wywoływały zawsze jedno z ich strony, abym jak najśpieszniej do Włoch podążył i poprowadził sprawę w duchu jedności i zespolenia, jednolicie a silnie. Nadewszystko Władysław Teleki naglił o to i zaklinał mię w swoich listach, abym co najprędzej do Włoch przybył.

Oddziały węgierskie we Włoszech tworzyły się najpierw z emigrantów, których liczba była ograniczona, dalej z jeńców węgierskich, wstępujących rozumie się ochoczo do szeregów, oraz z żołnierzy pułków węgierskich, którzy równie chętnie wstępowali.

Cesarz Francuzów, jako głównodowodzący armią, wydał rozkaz oddzielania jeńców węgierskiej narodowości od innych i odstępowania nam tych, którzy oświadczyli się z gotowością wstąpienia do oddziału. Celem porozumienia się z tymi jeńcami, którzy nie byli wysyłani do Genui, komitet narodowy delegował dwóch pułkowników i jednego kapitana do głównej kwatery francuzkiej i sardyńskiej. Poruczono im żądać upoważnienia do porozumienia się z jeńcami i zachęcenia Węgrów do oddziałów. Oficerowie ci zostali przyjęci nader życzliwie, tak przez cesarza francuskiego jak i przez króla sardyńskiego i żądane upoważnienie niezwłocznie otrzymali.

Na nieszczęście i tutaj nawet, w tak drobnej sprawie sortowania jeńców, powstawały różne trudności, których głównym powodem była ta okoliczność, że władze wojskowe francuzkie i sardyńskie za wskazówkę narodowości węgierskiej chciały gwałtownie przyjmować tylko umundurowanie, a raczej, rzecz prawdziwie śmieszna, część jego... niższą! Spodnie szczupłe, przylegające do uda i łydki, miały według nich tę wskazówkę stanowić... Otóż Austrja nie miała prawie wcale pułków jednolitych ze względu na narodowość, a ztąd pantalony przylegające nosiły różne narodowości, a z drugiej strony żołnierze madjarscy nosili także przeróżne hajdawery, zależnie od pułku, w jakim służyli. Tym sposobem powstało pewnego rodzaju zamięszanie, skutkiem którego przyjęto także do szeregów wielu Polaków, służących w wojsku austrjackiem. Pociągnęło to za sobą tę ewentualność, że poseł rosyjski w Turynie nie omieszkał zawiadomić Cavoura, że jeżeli Polacy nie zostaną zaraz usunięci z pułków węgierskich, to niech się pożegna z życzliwą neutralnością Rosji.

Skutkiem tego zostaliśmy zmuszeni uczynić zadość żądaniu p. posła rosyjskiego i wszyscy Polacy (mówiąc nawiasem, nie było ich wielu), zostali usunięci.

Z drugiej strony wielu bardzo Węgrów, służących w pułkach czeskich lub niemieckich, pomimo zaklęć na wszystkie świętości, nie mogło wstąpić do naszych szeregów, nie mogli bowiem w chwili wzięcia do niewoli wylegitymować się z narodowości, z powodu braku wymaganej pary hajdawerów. Prośby, błagania, łzy nawet żadnego w tej mierze skutku nie odnosiły. Próżno też zaklinali, aby ich posłano do Genui dla rekognoskowania. Hajdawery były szerokie, a przeto posiadacz ich, wedle rozkazu, winien być internowany aż do ukończenia wojny we Francji albo w Algierze. I wielu też, bardzo wielu Węgrów w ten sposób tam wytransportowano.

Szczególna zaprawdę lekkomyślność, karygodna powierzchowność w sprawie mającej tak istotne znaczenie. Przyczyniły one nie mało kłopotu i sporo zmarnowały czasu.

To sortowanie jeńców było istotnie rzeczą ciekawą i bezprzykładną. Zdarzyło się przecież razu jednego, że Francuzi wytransportowali z Genui do Afryki 1.400 jeńców, Włochów z Lombardji, którzy napróżno błagali, aby ich wcielono do wojska piemonckiego. Widząc, że tylko Węgrów zatrzymują i oddzielają, usiłowali oni wmówić we władzę, że są Węgrami — co rozumie się także nie odniosło skutku — bo zbywało im na urzędownie wymaganych hajdawerach. Wreszcie wielu Kroatów i Niemców, na zasadzie takiego urzędowego dokumentu i osobistych zapewnień, odseparowano do naszych szeregów. Później dopiero trzeba ich było sortować i usuwać, co przyczyniało kłopotu, korespondencyj i zabierało wiele czasu.

Lekkomyślność, a możemy słusznie dodać i ignorancja dalej nie idą!

Kiedy wojna została rozpoczęta, mianowicie zaraz po konferencji mojej z cesarzem w Paryżu, gdy Teleki i Klapka udali się do Genui, powzięli

*

oni zamiar wydania bezimiennej proklamacji o zamierzonem formowaniu oddziałów węgierskich.

Odradziłem im to. Byłem zdania, że podobna proklamacja nie może natchnąć żołnierzy, pragnących walczyć, zaufaniem i nie przedstawia dostatecznych gwarancyj.

„Daleko byłoby skuteczniejszem—pisałem—gdyby Wiktor-Emanuel napisał do sardyńskiego ministra wojny list, a w nim powiedział coś o ucisku Węgier, o wspólności interesów, jaką przedstawia obecna wojna dla narodów włoskiego i węgierskiego. Mógłby król wyrazić się tak mniej więcej:

— Nie ma wątpliwości, że pośród dzielnych Madjarów, walczących przymusowo w austrjackich szeregach, znajduje się wielu takich, co czują, że raczej miejsce dla nich właściwsze w szeregach państw sprzymierzonych. Tem powodowany król sardyński, pragnie, aby żołnierze węgierscy ożywieni takiemi uczuciami, otrzymali prawidłową organizację, i przypuszcza, że daje w ten sposób dowód życzliwości swej dla narodu węgierskiego. Dla tego rozkazuje król ministrowi wojny, aby przedsięwziął odpowiednie środki, żeby Węgrzy, którzy opuścili już lub opuszczą szeregi austrjackie, oraz jeńcy węgierscy, utworzyli osobny oddział, walczyć mający pod sztandarem węgierskim. Oddziałem tym dowodzić będzie współziomek ich, komenda będzie w języku madjarskim. Oficerowie będą pozostawieni w tym samym stopniu i otrzymają zasiłek pieniężny na wyekwipowanie się, podoficerowie i prości żołnierze dostaną gratyfikację w chwili wstąpienia do pomienionego oddziału.

„Niechaj król podpisze taką proklamację i niechaj ją ogłosi dziennik urzędowy w Turynie, zaś tajne komitety włoskie, istniejące w Lombardji, Wenecji, w księstwach i w Romanji, niechaj postarają się rozpowszechnić ją wśród wojska austrjackiego. Wówczas można będzie przypuszczać, że manipulacja ta osiągnie skutek, a dla nas stanowić będzie gwarancję, że żołnierze węgierscy będą uważani za sprzymierzeńców, że charakter ich narodowy będzie uszanowany. Proklamacja bezimienna, powtarzam, nietylko tego rezultatu nie przyniesie, ale będzie nieużyteczną, obudzi tylko nieufność i może nawet zaszkodzić.

Hrabia Teleki i generał Klapka podzielali w zupełności moje zdanie i przedstawili rzecz Cavourowi, ten zaś obiecał pomówić o tem z królem, podał wszakże, (jak mi pisał Klapka), że rząd sardyński, ze względu na swe wyjątkowe położenie, winien baczną zwracać uwagę na pewne wyjaśnienie, i dla tego, jeżeli wyda żądaną proklamację, nada jej formę cokolwiek bardziej biurokratyczną.

Nie było powodu sprzeciwiać się temu; ale na nieszczęście, owa forma biurokratyczna polegała na tem, że między tem, cośmy żądali, a dekretem królewskim, gdy ten się ukazał już zredagowany, dodał wszakże, że lepiej będzie poczekać z jego ogłoszeniem, aż będziemy mieli bodaj kilka setek żołnierzy, aby tym sposobem nie narazić rządu sardyńskiego na zawód, gdyby wbrew oczekiwaniu, ochotnicy nie przybywali, a jeńcy nie chcieli wstępować do oddziałów. Napróżno Teleki usiłował przekonać, że takie rozumowanie nie ma podstawy, że jest błędnem kołem, skoro dekret miał być właśnie ogłoszony w tym celu, aby pobudzić żołnierzy węgierskich, aby wstępowali do naszych szeregów.

Ta różnica poglądów opóźniła ogłoszenie dekretu. Tymczasem zaczęły się tworzyć pierwsze zawiązki przyszłych oddziałów; komitet rozpoczął w dniu 5. czerwca swe działania i polecił przyjacielowi mojemu i dotychczasowemu jeszcze towarzyszowi mego wygnania pułkownikowi Kaszonyi, zająć się ich uorganizowaniem.

Kwatera główna została założona w twierdzy Castellacio, nieopodal Genui. W dniu 12. czerwca, pierwsi żołnierze udali się do Acqui. Było ich zaledwie stu dwudziestu. Kiedy nastąpiła katastrofa w Villafranca, było ich już cztery tysiące.

Żołnierze i trzej oficerowie, którzy najpierw otrzymali przeznaczenie, byli płatni przez rząd sardyński, inni oficerowie oczekujący kolei, byli na żołdzie kasy komitetu narodowego.

Nie wiedziano jeszcze nic pod ową porę o dekrecie królewskim, ale sam ten fakt, że owych 120 ludzi w organie urzędowym nazwano oddziałem (légion) złożonym z Węgrów; sam ten fakt przyczynił się do obudzenia podejrzeń. Emigracja węgierska mianowicie była zdania, że za dni naszych nazywają legionem wojsko niemające charakteru samodzielnego, które walczy poprostu w obronie państwa, na którego żołdzie się znajduje.

„Skoro więc zowią nas legionem, mówili emigranci, rzecz widoczna, że nie bijemy się za naszą sprawę“. Wzgląd ten istotnie ważny, bo emigracja węgierska gotowa jest wszystko poświęcić dla ojczyzny, ale tylko dla ojczyzny.

Pisano też do mnie, zapytywano i proszono, abym się w to wdał i rozprószył obawy, a wojsku naszemu stworzył pożądane stanowisko.

Obawy, wywołane przez tę nazwę, stały się niebawem tak groźne, że mogły spowodować nawet rozproszenie sił tylko co powstałych. Wreszcie ukazał się w dniu 10. czerwca dekret podpisany przez namiestnika króla sardyńskiego, a noszący datę 24. maja.

Dekret pomieniony, zredagowany według formuły dość zwykłej, opiewał poprostu, że w królewskiem wojsku będzie utworzony legion węgierski, do którego zaciągnąć się mogą podoficerowie, kaprale i żołnierze na czas wojny, oraz mogą wstępować ochotnicy węgierscy, którzyby chcieli przyjąć udział (intendano concorrere) w wojnie przeciwko Austrji. Legion ten, jak głosił dekret, miał być rządzony przepisami wydanemi dla innych ochotników w miesiącu kwietniu, to się znaczy wówczas, kiedy jeszcze nie było mowy o wojsku węgierskiem!

Takim był niestety ów dekret tak długo wyczekiwany.

Według słów jego, żołnierze nasi odgrywać mieli rolę najemników Piemontu, mających służyć na czas wojny. O narodzie i jego sprawie ani słowa. Nawet węgierskiego sztandaru, chociażby dla optyki, dla usymbolizowania narodowości.

Nic, nic takiego, coby dowodziło, że to Madjary bić się mają za własną sprawę!

Cała różnica między Węgrami a ochotnikami włoskimi, polegać miała na tem, że organizacja naszych bataljonów i szwadronów miała być taką jak w r. 1848.

Niepodobna zaś opisać oburzenia, jakie dekret ten sprawił w naszych szeregach; wszyscy byli zdania, że nie można przyjąć go i uznać. Oficerowie oznajmili, że na takich prawach walczyć nie będą. Na szczęście trwało to niedługo.

Hrabia Telleki i generał Klapka udali się do Turynu i zdołali wyjednać sztandar węgierski dla naszego wojska, oraz uznanie charakteru narodowego i posłuszeństwa patrjotycznego tegoż wojska, co miało być wyrażone w formule przysięgi, oraz w nominacjach oficerskich.

Cavour zgodził się na powyższe punkta, ale prosił, abyśmy o tem za wiele nie rozprawiali, albowiem „dyplomacja -- jak mówił — pilnie śledzi Węgrów.“

Gdy nareszcie rzecz została rozstrzygnięta, generał Klapka, który oddzielnym rozkazem mianowany został głównodowodzącym wojskiem węgierskiem, wydał w dniu 16. czerwca pierwszy rozkaz dzienny i zajął się w sposób urzędowy organizacją wojska.

W pomienionym rozkazie dziennym powiedziano było wyraźnie, że „zgodnie z kategorycznem oświadczeniem rządu, wszelkie zobowiązanie względem Piemontu przestanie istnieć z chwilą, w której legion zdoła stanąć na ziemi węgierskiej. Wszyscy zatem którzy złożyli przysięgę, od obecnej już chwili służą ojczyźnie i rządowi narodowemu węgierskiemu, który będzie we właściwej chwili utworzony, celem wywalczenia Węgrom niepodległości. Przysięga wykonana na wierność królowi Wiktorowi-Emanuelowi, obowiązuje tylko do chwili, do której legion znajdować się będzie na ziemi włoskiej.“

Ażeby wreszcie uspokoić w zupełności emigrację, postanowiono oddzielnym rozkazem, wydanym nazajutrz, 17. marca, że legjon będzie nosił nazwę *Armji węgierskiej we Włoszech.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z PIOSNEK JESIENNYCH.

JEDYNY ŻAL.

Gdy przyjdzie pora żegnać się z światem,
Któż swojej świadom jest z góry?
Gdy śmierć nad życia płaskim dramatem,
Kreśląc krzyż «Fora!» wykrzyknie «z gratem!
Przed kratki Bożej cenzury!»

Gasnących źrenic mętnem spojrzeniem,
Za grobu dążąc krawędzie,
Ostatnim bytu tutaj wspomnieniem,
Na scenie ziemskiem zwanej istnieniem,
Czego mi wtedy żal będzie?

Czy pożałuję krótkiej młodości?
Snu «snem na kwiatach» zwanego?
Nie! Gdyż dłoń twarda rzeczywistości,
Zbyt po grubjańsku, zbyt bez litości,
Budzi zeń niemal każdego!

Czy pełne westchnień, tęskne, «Bądź zdrowa!»
W danku, płci poszlę niewieściej?
Nie, choć to czara miodna, ni słowa,
Lecz na dnie zawsze jakiś fus chowa,
Lecz na dnie często jad mieści!

Czy szepnę «Szkoda!» myśląc o dalszych
Z kolei dobrach południa?
Nie, gdyż te świecą tylko dla dbalszych,
Dla tych, czyj ranek w rząd się prac trwalszych,
Nie jak mój, w mary zaludnia!

Czy ku przyjaźni wygnę ramiona?
Czy, zkąd by biegła, nie baczę,
Byle u swego pieściła łona,
Mniejsza gdzie, kiedy, czem, zasłużona,
Za ludzką łaską zapłaczę?

Nie, gdyż w niezłomność pierwszej nie wierzę,
A z drugą, w życiu mem całem,
Wart jej, czy nie wart, niechaj w tej mierze,
Kto inny śledztwo i sąd zabierze,
Nigdy się nazbyt nie znałem.

Kiedy więc zgonu uderzy chwila,
Na śpiewy serca łabędzie,
Ach! Z tylu uczuć i wrażeń tyla,
Co nam wędrówkę ziemską umila,
Czegoż mi, pytam żal będzie?

Czego? Ot kilku chwilek marzenia,
Gdy piosnka zwoła na gody!
Kilku polotów w górę natchnienia!
Kilku przeczystych łez rozrzewnienia,
Na łonie matki przyrody!

Czego? Puszcz szmeru! Czego? Łąk woni!
Czego? Bezludzia dokoła!
Czego? Przejrzystej lazurów toni!
Czego? Chmur po niej wietrznej pogoni!
Czego?..... Niczego już zgoła!

J. S. Chamiec.

Kronika Tygodniowa.

(L). W imię tych słów Chrystusa, „że większa jest radość w niebie z jednego nawróconego grzesznika, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu dobrych", — zawiązało się w tych czasach Stowarzyszenie Opieki nad wypuszczonymi więźniami. A co godniejszem jest uznania, że inicjatywę do tego dzieła powzięła Prokuratorja Państwa, to jest władza, na której cięży ten nie bardzo przyjemny obowiązek instygowania z urzędu. Gdzie indziej ludzie zajmujący takie stanowisko, z czasem nabierają zamiłowania w ściganiu zbrodni, a to zamiłowanie uprowadzając ich nieraz zanadto daleko od prawdy i obowiązków, wyradza żądzę dopatrywania wszędzie i prześladowania zbrodni, bez względu, że tego rodzaju gorliwość może na wieki zabić honor i byt człowieka, sprowadzając niesławę już za to samo, że mógł być pociągniętym do odpowiedzialności. Jakże więc godnem jest wdzięczności i prawdziwego uznania, to szlachetne poczucie instytucji, która ukarawszy przebacza, a nawet przebaczywszy pragnie powrócić znów społeczeństwu marnotrawnego syna. Dlatego też mamy nadzieję, że publiczność nasza, umiejąca doskonale odczuć szlachetny i pełen chrześciańskiego uczucia, cel Towarzystwa, poprze ile możności, inicjatywę założycieli, zwłaszcza gdy opłata roczna jest tak skromną, bo tylko 2 złr. wynosi. Zapewne mieszkańcy Lwowa w ten sposób pojęli swój obowiązek, zebrawszy się dnia 8. marca tak licznie na festyn w ogrodzie Wysokiego Zamku urządzony, jak dawno już nie pamiętamy. Poprostu trudno się było przecisnąć przez tłumy świątecznie wystrojone, a płynące jak fala po wszystkich alejach, to w jedną to w drugą stronę. Prawda, że i pogoda dopisała prześlicznie, a dwie muzyki wojskowe uprzyjemniały przechadzkę, lecz zawsze musimy oddać sprawiedliwość publiczności naszej, która jak idzie o dobry czyn, potrafi być hojną i ochoczą...

Żeby to tak działo się we wszystkich sprawach naszych publicznych i żebyśmy trochę mniej dyplomatyzowali, a więcej patrzyli na rezultaty naszych prac dla dobra publicznego, mniej się wstydzili pokazać Polakami, niż Austrjakami, to zdaje nam się nie byłoby tyle narzekań i zarzutów, jakie słyszymy wciąż o naszych mężach stanu, którym się koniecznie zdaje, że każden rząd jest delikatnem jajkiem, mogącem stłuc się przy każdem silniejszem stuknięciu. Ot naprzykład i z temi posadami techników, przy budować się mającej kolei Transwersalnej, mało co dostało się naszym inżynierom, a wszystkie prawie miejsca zajęli Niemcy, żydzi i różni przybysze. Toż samo będzie z pewnością przy rozdawaniu robót i tak zawsze być musi, skoro nasza delegacja i nasi ministrowie nie mają odwagi narazić się, gdzie potrzeba i stanowczo żądać tego, co nam się należy, zwłaszcza, że jak w tym wypadku kraj, znaczną ofertą przyczynia się do budowy tej kolei. Jakże w przeciwieństwie z tem stoją usiłowania rodaków naszych w Kogresówce pod rządem, gdzie Polacy nie mają żadnego głosu, a prócz niechęci i złej woli natrafiają na interwencje wprost i otwarcie nieprzychylne krajowi. Z wiarogodnego źródła dowiadujemy się, że ten sam margrabia Zygmunt Wielopolski, którego patrjotyzm tak nizko stawiamy, w porównaniu z naszym, będąc zagrożony przez partję panslawistyczną, że nie otrzyma koncesji na budowę drogi Demblińsko - Dąbrowskiej, — tyle jednak dokazał, tyle użył różnych wpływów i środków, że koncesję udzielono konsorcjom polskiemu, które przy budowie wszystkie posady obsadziło samymi tylko krajowcami. Zestawmy te dwie sprawy? Tam jeden człowiek niebardzo nawet popularny między swoimi, walczy z tysiącami przeszkód, intryg, z niechęcią i zawiścią plemienną, walczy i zwycięża, a u nas potężny zastęp delegacji, ministrowie, panowie, mężowie cieszący się zaufaniem Rządu sprzyjającego otwarcie krajowi, nie może zapewnić umieszczenia kilkudziesięciu ludziom pragnącym w uczciwy sposób służyć krajowi i zapracować na życie. Smutna to jest sytuacja, którą jednakże pewne stronnictwo z taką odwagą określiło słowami psalmu Krasińskiego:

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie!"

Dziwna rzecz, dlaczego to partja ta, jak idzie o posady którego bądź z członków i adherentów swoich, nie jest tak skromna w żądaniach!

O takiej samej pokorze chrześciańskiej i poddaniu się życzeniom sfer ministerjalnych czytamy i słyszymy wciąż gdy idzie o udzielenie opinii sejmu co do projektowanego zlania się władz administracyjnych z autonomicznemi. Pan Paweł Popiel w otwartym liście swoim do narodu, serdecznie zachęca do przyjęcia propozycji Rządu, argumentując wysoce filozoficzny pogląd swój na marności świata tego tem: że kto nam zaręczy że dzisiejszy ustrój autonomiczny nie może tak samo runąć, jeżeli nieprzyjazne nam stronnictwo przyjdzie do władzy! Czas nazywa ten frazes wysoce mądrym i politycznym, nad którym kraj cały powinien się, zastanowić! W takim razie, przyjmując i przypuszczając podobne ewentualności, pytamy się po co jeździć na Sejm i do Rady Państwa, po co przyjmować godności członków Izby Ponów? Schylić głowę z pokorą, ręce skrzyżować na piersi i powiedzieć: „dziej się wola Twoja o Panie, bo ty najlepiej wiesz czego nam grzesznym potrzeba, Amen"!

Turysta - pedagog*)

wspomnienie trzech wycieczek w kołomyjskie góry

podał

Marceli Turkawski.

(Ciąg dalszy.)

Stanowczy krok turysty - pedagoga odniósł wprawdzie na razie małe zwycięztwo u pp. XXów, ale do zupełnego podbicia dwóch serduszek potrzeba było zasług większych. Najstosowniejszem do rycerskiego popisu polem wydała się naszemu bohaterowi *wycieczka.* Zebrał tym celem śpiesznie Zarząd oddziału Czarnohorskiego, który jednomyślnie oświadczył się za urządzeniem towarzyskiej *wycieczki na Rokietę.* Pierwsza ta ekskursja „Czarnohorców" miała częścią zachęcić miejscową i okoliczną publiczność do liczniejszego przystępowania na członków czarnohorskich, częścią światu objawić, że w Kołomyi rzeczywiście istnieje nowe towarzystwo. Na rzeczonem posiedzeniu Zarządu wybrano ściślejszy komitet (do którego wszedł oczywista i sekretarz), aby zajął się wykonaniem programu wycieczkowego w drugi dzień Zielonych świąt.

Sama nowość przedsięwzięcia, dotąd niesłychanego na Pokuciu, którego się podejmowali dla dobra i honoru świeżego stowarzyszenia „Czarnohory," wskazywała sposoby i drogi, aby spodziewanym uczestnikom uprzyjemnić i nudną zwykle podróż, i jeszcze nudniejszy pobyt na szczycie góry. Ba, a zapomnieliśmy dodać, że należało przedewszystkiem myśleć o zebraniu jak najliczniejszego grona turystów i turystek, a jeszcze bardziej o uproszenie Najwyższego, ażeby błogosławiąc naszym śmiałym planom, raczył na Pokucie zesłać stałą pogodę. Już to co do tego ostatniego punktu, godzi się nam z pewną dumą zapisać tu pewnik, że wszystkie wycieczki, podjęte staraniem „Czarnohorców", cieszyły się (niezasłużonemi prawdopodobnie) względami Opatrzności, — mieliśmy bowiem zawsze najpiękniejsze dnie i najczarowniejsze noce, jakich nam inni turyści ze Lwowa, Stanisławowa i Nadwórny wiecznie zazdrościli.

Zawrzała więc ciepła praca komitetu: drukowane odezwy czyli zaproszenia, zawierające szczegółowy szkic różnorodnych przyjemności wycieczki; usilne namawianie w kasynie, urzędach i domach prywatnych do uczestnictwa; zamawianie na Baginsbergu „szwabskich" podwód, żydowskiej muzyki i innych drobnostek; żywa korespondencja z wybitniejszemi osobistościami okolicy i dziennikarstwa, a głównie z właścicielami miejscowości, którędy turyści mieli przejeżdżać; wreszcie naoczne przekonanie się o praktyczności ułożonego programu jazdy i pochodu na samą górę — oto w streszczeniu wiązanka przedwycieczkowych przygód i kłopotów „ścisłego komitetu"!...

Na nieszczęście strudzonego sekretarską „pisaniną" i pieniężnemi składkami turysty-pedagoga, padł nań w kilka dni przed świątkami

*) Patrz Nr. 32.

okropny grom w postaci p. X., który nad wszelkie rachuby i oczekiwania wrócił z długotrwającej podróży do domu, i dowiedziawszy się o zamiarze swych pań, wprost oświadczył, że w wycieczce nie mają wziąć udziału. Tak całe przedsięwzięcie byłoby spełzło na niczem, gdyby nie szczęśliwa natura kobieca, umiejąca obchodzić rozkazy „pana domu“ przemyślnemi drogami. Jużto, Bogiem a prawdą, nie ma na tym padole ziemskim tak mądrej i przebiegłej istoty, jak... kobieta! Bez szemrania zgodziły się panie XX. na *veto* głowy domu, a cichaczem snuły równocześnie węzeł intryg i uknuły projekt konfederacji familijnej (do której wciągnięto i turystę-pedagoga), polegającej na tem, że one wyjadą, niby na Zielone święta, do swych krewnych w I..., którędy właśnie przejeżdżając turyści, mieli je z sobą zabrać na Rokietę. Nie potrzebujemy nawet uprzedzać ciekawych czytelniczek zapewnieniem, iż tak zręcznie obmyślany plan, w zupełności się powiódł, — szkoda tylko, że dotyczące osoby nabawił tyle obawy i strachu! Ale to już minęło!...

Powodowany ciekawością, tą ogólną wadą polskiego narodu, rzucał nasz bohater przez dwa dni, poprzedzające termin wycieczki, badawczy wzrok ku stronie południowo-zachodniej, tam, gdzie lekką mgłą otoczona widniała Rokieta. Złośliwi bowiem podawali za autentyczny fakt, że na niej leży jeszcze gruba warstwa śniegu, a złośliwsze „języki“ dodawały, że nie „bez kozery“ spogląda turystowski sekretarz w te strony, gdzie w przededniu podążyły dwie zakwefione osoby. Szczęściem płonne były te wróżby i przepowiednie, które pochodziły od zazdrośnych nieprzyjaciół pp. XX.

Dnia 10. czerwca r. 18... zaświtał na widnokręgu tak luby poranek, że jego pamięć przechowała się po dzisiaj w duszy naszej. Koloniści nieco podchmieleni — »*das sind ja Pfingsten,*« objaśnia wójt (Vorstand), stanęli dość wcześnie z wozami, napełnionemi słomą i sianem, na rynku. Puszczamy się otóż z usłużnymi uczniami po ulicach miasta, aby z zaspanego otoczenia zabrać turystów i turystki, i jak najprędzej wywieźć nad siny Prut. Takim sposobem stanęło niedługo po 6. godzinie zrana prawie sto osób obok rogatki na Wierzbiążu, tego zbiorowego miejsca naszych podwód. Wszyscy, „jak jeden mąż“, byli gotowi do wyruszenia, — zawód spodziewamy zrobiła nam nie kobieta, nie szlachta, ...ale kapela żydowska, która gdzieś do świtu, „rzępoliła“ na weselisku. Utracił na tem porządek chwilowy, rady na zapobieżenie złemu nie było, należało pogodzić się z smutną rzeczywistością i naprzód spieszyć. Poczciwy kolega W. wybawił nas z prawdziwego kłopotu, podejmując się bez względu na osamotnioną połowicę i parę dziatek, wrócić do miasta i przywieźć opieszałych „muzykusów“ do miasteczka I. Ceniąc sobie wysoko takie poświęcenie komitetowego dla wspólnego dobra, powierzyliśmy mu najtęgszy wóz z zaprzęgiem, a sami ruszamy gładkim gościńcem rządowym na południe, jedni za drugimi, rozmieszczeni to na własnych lub najętych powozach i wózkach, to na wozach kolonistów niemieckich.

Weseli z natury Kołomyjanie rozweselili się jeszcze bardziej naturą wiejską, świeżą przyrodą i komicznem rozlokowaniem niektórych osób na najniewłaściwszych stanowiskach. Co do naszego turysty-pedagoga, ten nie mógł podzielać tej ogólnej swobody gardlanej i gestykulacyjnej w sąsiedztwie starego wdowca i drobnego młodzika...

Nie mówiąc już o marzeniu, nieustanny turkot potężnie okutych podwodowych kół, ciągły gwar wymijającej się na wyścigi gawiedzi, — przeszkadzał nawet uczciwej pogawędce z banalnym sąsiadem, który, jako *techniczny* znawca tutejszych okolic, byłby rozerwał rozgorączkowany i zniecierpliwiony umysł luźnemi nowinkami brukowemi lub drogowemi. Pośpiesznie mijamy oba Wierzbiąże, jako zapowiedź gór, łagodne wzgórze Katarzynę (216. m.*), Myszyn, Kowalówkę, wsie przeplatane bujną zielenią, co jakby gładkim kobiercem pokryła lekkie pagórki, ciągnące się wzdłuż i na uboczu drogi rządowej. Dopiero poważna cerkiew z śliczną dzwonnicą zwraca uwagę wszystkich gości, oznajmiając, że to Stopczatów, przedmurze Jabłonowa, sławna wieś z ludowych piękności, upstrzonych w barwne stroje. Co chwila spotykamy ciekawe gromady, gapiące się, z otwartemi „gębami“, na niewidziany widok przepychu i dziwacznego śmiechu miastowców, to znowu machinalnie się pochylające dzieci, w których tępej główce nie może się pomieścić: po co i dokąd tyle państwa jedzie tamtędy? Widząc łuki i bramy sądzi jeden, że to cesarz przybędzie; drugi dowcipniejszy zaś prostuje, że to huczne wesele u pana „felwartera“ gromadzi ochoczą do tańców drużynę *(autentyczne.)* Wtem woźnice skręcają w prawo konie. Patrzymy tuż przed siebie w górę i widzimy potężną bramę tryumfalną, ubraną choinkami, na której wierzchu pośród zielonych festonów czerwieni się na białem tle napis: »*Szczęść Boże Towarzystwu Czarnohorskiemu*«!

Huk trzaskających nieustannie moździerzów starej daty, witał każdy nadjeżdżający wóz i powóz bez różnicy, które tylko zmierzały łukiem na probostwo łać. *Jabłonowa.* U wejścia na podwórze kościoła spotyka nas uśmiechnięty proboszcz, ks. Ż., ongi kapelan wojskowy, dziś gdy piszemy, niestety już nieboszczyk, i uroczyście wprowadza do świątyni Pańskiej, by wiernie praojców zasadzie: „Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa, jak mawiali starzy“ — podziękować Mu za dotychczasowe, a prosić o dalsze...

Jednym skokiem znalazł się turysta-pedagog obok swojej »*dulcynei,*« która dla zadania „szyku“ ubrała się skromnie, w szare, podróżne szaty, i wdziała na główkę turystowski kapelusik z szerokiemi kresami. Odtąd był on, jak się tego łatwo domyśleć, nieodstępnym jej towarzyszem, czy to przy gorącej modlitwie, czy przy sutem śniadaniu, jakie na improwizowanych stołach i ławach zastawiono w pobliżu kościelnego parkanu. Ledwie co po przekąsce zadzwoniły butelki i rozpoczęły się wiwaty, aż tu z za parkanu ni ztąd, ni zowąd, zagrzmiał nasz szczeropolski „marsz Dąbrowskiego“.

Niespodziankę tę miłą urządził nam rzeczony kolega W. Po przywiezieniu muzyki kołomyjskiej w cichości, umieścił ją w przyległym ogrodzie, aby nie znieważać świętego miejsca „inaczej myślącymi“.

Oczywista po gościnie u ks. Ż. spieszy cała kalwakata turystów pieszo na rynek miasteczka, sadowi się po dawnemu na swych siedzeniach, z wyjątkiem chyba sekretarza, któremu „łaskawsze nieba“ dozwalają umieścić się *vis-à-vis* płci nadobnej. Już to o *Jabłonowie* wieleby się dało powiedzieć, i z historycznych wypadków, gdybyśmy historyczną pisali rozprawę, i o sławetnej gospodarce magistratualnej, która, jak wszędzie, w naszej »*Gaskonii*«, spoczywa w ręku braci mojżeszowej, gdybyśmy znowu mogli się tu zajmować studjami społeczno-ekonomicznemi. A że nam tego czynić tu niepodobna, niech wystarczą dwa zdania: założył to miasteczko hetman Jabłonowski, splugawił i zniszczył żywioł żydowski!

Dawnym porządkiem jechało powiększone nowymi przybyszami grono turystów w kierunku zachodnim, przeważnie wzdłuż lewego brzegu rzeczki Luczy, wpadającej wraz z Sopówką tuż pod Wierzbiążem do Prutu. Okolica za Jabłonowem przybiera górski charakter; z początku ciągną się tylko łagodne pagórki aż do wsi Luczy, ztąd przechodzą w coraz wyższe wyniosłości opodal obu Berezowów (wyższego i niższego). Od północy dąży skośnie na drogę pasmo Dubowe (372 m.) aż do wsi Luczy, a na południe szeroko rozgałęzia się łańcuch t. zw. Kamień (315 m.). Środkiem obydwu tych wyżyn wiedzie powiatowa droga średniej jakości; jak zawsze między górami ciągnie się ona w wąskiej kotlinie rzecznej, zamkniętej owemi pasmami Dubowej i Kamienia w tak silną twierdzę uboczną, że ściśnięty nią błękit nieba pozostawia tylko wązki widokrąg.

Im bardziej zbliżaliśmy się do szlacheckich osad Berezowa i pośpieszniejśmy je mijali, tem wyraziściej na tle ponurego krajobrazu uwydatniała się *Rokieta,* jakkolwiek od zachodniej strony z drogi słabe sprawia na widzu wrażenie. Nad rzeczką Rotundziewą, poboczną Luczy, a właściwie opodal Zabereznego, rozlega się dość obszerna równina, piaszczysta i jednostajna aż do znudzenia. „Ktoś śmielszej natury“ na przodzie zeskoczył z bryczki i zaproponował pieszą przechadzkę po gładkiej, lecz wyschłej murawie, a za nim, jak na zawołanie, dalej wszystko do zeskakiwania.

Pochód jednakże „stępakiem“ nie potrwał długo, wnet zbolały nóżki i jak się zachciało, tak i odechciało... Zresztą zbliżała się *Bania Berezowska,* potrzeba było chcąc „gminowi zaimponować“ klusem i z trzaskiem zajechać przed gospodę, *alias* karczmę tamtejszą, napełnioną bracią szlachecką i okoliczną publicznością od Peczeniżyna i Mikuliczyna, która przybyła tu z zamysłem przyłączenia się do wycieczki na górę.

Wyobraźmy więc sobie zamięszanie ztąd powstałe: tu szereg osiodłanych koni-huculków, tam zaprzężone wołami wozy górskie, opodal podwody obce i nasze, ówdzie w karczmie i na ganku „pod dobrą datą“ panowie bracia w stroju kontusikowym i w wielkich kapeluszach czarnych na głowach, przy nich wesoło gwarzące szlachcianki z potężnemi kapturami i stosem korali, oraz wiejskie „krasawice“ w ślicznichnym stroju gorsikowym i z brzękiem medali u szyi, do których „umizgali się“ dziarscy „szlagoni“ i nie mniej dziarscy „Tegini“ huculscy, a do tego cały rój postronnych przybyszów i kołomyjskich turystów... a będziemy choć w przybliżeniu mieli jakie takie wyobrażenie o całości, podobnej do zjazdu sejmikowego!... Gdy według pierwotnego projektu niepodobna było w tym tłumie śniadać (po trzeci raz od wyjazdu), nale-

*) Wysokość podawać będziemy według dat, któreśmy znaleźli na karcie instytutu geograficznego. Inne zaś daty np. Kummersberga, Rivoliego itp. umieścimy w notach. Dziwnie, że tak znacznie różnią się od siebie pomiary, jakie znajdujemy na powyższych mapach.

żało naprzód iść lub jechać. Jedni zdecydowali się na powolną furmankę, drudzy na jazdę wierzchem, odważna większość wraz z sekretarzem i jego najściślejszem towarzystwem posunęła *per pedes apostolorum*.

Spokojna zwyczajnie *Rokieta* zawrzała ruchem i życiem nie do opisania! A przecież trzeba ją opisać, bo od czego sekretarz!?... Dla wyjaśnienia otóż dalszego uprzedzamy na razie szan. czytelnika, że *Rokieta*, rozpoczynająca się w Berezowie wyższym, składa się z dwóch gór, jednym ciągiem w całość zwartych: niższa, początkowa góra zwie się w tutejszem narzeczu *Stouba*, wyższa zaś, dalsza i końcowa nosi właściwą nazwę »*Rokieta*.« Droga wązka czyli ścieżka raczej dla wózków huculskich, prowadząca aż na sam szczyt Rokiety, nie jest na obu tych wzniesieniach szczególną, ale też w stosunku do innych karpackich drożyn nie najgorsza. Zwykle ta ściśnięta w lesie drożyna, która gości zmuszała do pochodu »*gęsiego*,« rozszerzała się miejscami nakształt maleńkich polan, dogodnych osobliwie do chwilowego skupienia i zebrania rozproszonych turystów. Ponieważ ona (oczywiście droga) była pełną wybojów skutkiem niedawnej ulewy i spuszczania po niej drzew, przeto towarzyszyła usłużna płeć męzka z pomocą grzecznych Hucułów po obu stronach zarówno kiwającym się wózkom, jak amazonkom na koniach, a byleby się gdziekolwiek równowaga zachwiała, wnet podpierała ją silnemi swemi ramionami. Również członki ciała „pedagogicznego“ były w „robocie,“ ale przeważnie na usługi obojga pań. Zwyczajnie prowadząc pod ramię „mamę“ (zawsze „przez mamę“ przychodzi się do córki!) nie zapominał nasz bohater i o czułej „córze“; — do potrzebnego wyręczenia nawinął się sprytny „aptekarczyk“, zażywający na Pokuciu genialnej sławy pierwszego *maestra* nadto dodatkiem hiszpańskim »*di caballero*« zaszczycony. Tem pożądańszą była jego pomoc, że nie wzbudzał w nikim zazdrości lub obawy o rywalizacją.

Tak powoli postępując, jednostajną lichą drożyną dostaliśmy się na lekkie wzniesienie kończącej się Stouby, gdzie stała zielona brama, u której szczytu wieńcem otoczony znajdował się „cap“ (rozumie się, nie żywy, lecz malowany bardzo wiernie przez ś. p. Jana d'Entla) a tuż niżej na białem płótnie czerwony napis: „Witajcie.“ Bardzo doborowe to na bramę miejsce, gdzie zarazem mogliśmy spocząć i stokrotnie powetować sobie przyjemności, stracone w karczmie Bani Berezowskiej, oraz składna całość tak pojedyńczej a gustownej bramy leśnej — było dziełem skarbowych leśniczych tutejszych, którzy bezinteresownie pośpieszyli ze swym naczelnikiem, aby miastowym gościom uprzyjemnić czas pobytu w ich otoczeniu i na terytorjum leśnem. Tu więc prawie na połowie całkowitego stoku Rokiety ogłoszono z komitetu, ogólny wypoczynek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

AFORYZMY BALZACA.

Z okazji trzydziestej pierwszej rocznicy śmierci Balzaca, gazety paryskie poświęcają obszerne wspomnienie znakomitemu autorowi „Komedji ludzkiej“ i przytaczają aforyzmy o kobietach, jakie francuski powieściopisarz hojną ręką rozsypał po swoich dziełach.

Oto z nich kilkanaście...

* Serce młodej dwudziestopięcioletniej dziewczyny nie jest już sercem ośmnastoletniego dziewczęcia, ani też serce kobiety czterdziestoletniej sercem trzydziestoletniej.

W życiu kobiety są cztery różne wieki...

* Młoda dziewczyna ma zawiele złudzeń, zamało doświadczenia i płeć jej zanadto jest wspólniczką jej miłości, iżby ta miłość mogła pochlebiać młodemu człowiekowi — kiedy tymczasem kobieta rozumi dobrze wielkość poświęcenia jakie ma zrobić.

Jedna ustępuje, druga wybiera.

Czyż wybór nie jest już sam przez się niezmiernie pochlebnym?

* Najrozumniejszemi są te dziewczęta, które najwięcej zastanawiały się nad niewielu rzeczami.

* Miłość w słowach nie warta miłości w czynach — każda dwudziestoletnia dziewczyna gdy idzie o zastosowanie tej zasady ma pięćdziesiąt lat.

Jestto najpotężniejszy argument uwodzicieli.

* Są młode dziewczęta tak fałszywe, że niepodobna inaczej odgadnąć ich charakteru jak z charakteru tańca.

Tylko figura ich i ruchy nie kłamią.

* Młoda osoba zawsze powinna wiedzieć na czem opiera swoje spojrzenie.

* Wielkie namiętności są na świecie równie rzadkiemi jak arcydzieła.

* Myśl będzie zawsze gwałtowniejszą niż czyn — inaczej pragnienie byłoby mniej pięknem niż zadowolenie.

* Miłość udana jest doskonalszą od prawdziwej i dlatego to tyle kobiet daje się nią zwieść.

* Niema argumentu potężniej przemawiającego za nierozwiązalnem małżeństwem nad niestałość uczuć.

* Dzieje szczęśliwego pożycia są podobne do dziejów szczęśliwych ludów.

Można je zawrzeć w dwóch słowach.

* Małżeństwo tem jest podobne do procesu, że jedna ze stron zawsze jest niezadowoloną.

* Nic tyle nie gniewa mężów, jak kiedy żona staje wciąż na zawadzie ich pragnieniom, choćby te były tylko przelotnemi.

* Cierpienie tak samo jak radość otacza się pewną atmosferą.

Pierwszy rzut oka na domowe pożycie powiada nam co w niem króluje: miłość czy też rozpacz.

* W miłości — jeżeli pominiemy duszę — kobieta jest nakształt liry, która temu tylko odsłoni wszystkie swoje tajniki, kto na niej grać umie.

* *Kwestja:*

Nie rozstrzygnięto dotąd czy do niewierności więcejby popchnęła kobietę niemożność szukania zmiany, czy też swoboda jakąby jej dano w tym względzie?

PIŚMIENNICTWO.

Przewodnik dla zwiedzających Czarnogórę, położoną w powiecie Kossowskim — napisał Jan Gregorowicz. Lwów nakładem autora, 1881. w 8ce. str. 71.

Pod powyższym tytułem ogłosił świeżo pan Jan Gregorowicz, marszałek powiatu Kossowskiego i przewodniczący oddziału Czarnohorskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, szczupłych rozmiarów broszurę, któraby zaradziła gwałtownej potrzebie podobnego przewodnika w mało jeszcze znanej krainie Hucułów. Sam autor, tyle zasłużony obywatel, którego znakomitą działalność niedawno podziwialiśmy na etnograficznej wystawie w Kołomyi, chwyta za pióro od czasu do czasu, nie dla zdobycia sobie sławy literackiej, ale dla podania szerszemu ogółowi wyników osobistych studjów i własnych spostrzeżeń. Nie rości on sobie pretensji do wyczerpania przedmiotu traktowanego, lecz stykając się codziennie w Żabiu z ciekawym ludem huculskim, kreśli nam *prawdziwy* szkic tamtejszego życia, odmalowuje krótkie rysy Czarnohorskiej okolicy.

Bezsprzecznie nie ma ten pierwszy i oryginalny „Przewodnik“ nic wspólnego z podobnemi Tatr, np. Eliasza, Janoty itp., gdyż przedmiot ciągnie się tu jednostajnie od początku do końca bez rozdziałów i intytulacyj. Baczny atoli czytelnik potrafi z łatwością oddzielić ustępy i wynaleźć potrzebne miejsca w tej książeczce.

Autor używa stale nazwy „Czarnogóra,“ odpowiadającej raczej księztwu słowiańskiemu nad Adrjatyckiem morzem, zw. Montenegro. Skoro miejscowy djalekt zwie tę górę czyli łańcuch górski »*Czarnohorą*« lub »*Czernohorą*«, nie zachodzi, naszem zdaniem, najmniejsza potrzeba polszczenia tego wyrazu, choćby dla uniknienia dwuznaczności. Inaczej musiałoby się obok polskiej nazwy podawać w nawiasie dość utartą na Pokuciu huculską.

Po krótkiej przedmowie przystępuje autor do dość szczegółowego opisu powiatu kossowskiego pod względem oro i hydrografji, klimatologji, balneologii i statystyki, pominął atoli milczeniem sąsiednie powiaty: nadwórniański i stanisławowski, gdzie również rozciąga się pasmo Czarnohorskie. Dalej mieści się treściwy przewodnik dla turystów, którzyby chcieli zwiedzić te cudowne strony, bezsprzecznie najpiękniejsze w Polsce. Osobny rozdział p. t. „Słowniczek huculski“ ma służyć do porozumienia się z Hucułami, którzy prócz zwyczajnych słów małoruskich posiadają bardzo wiele oryginalnych wyrażeń, nieznanych mieszkańcom dolnego Pokucia i Podola. Ciekawy spis tych wyrazów ogłosiło już Towarzystwo Tatrzańskie w swym »*Pamiętniku*« z r. 1880., tu w „Przewodniku“ spotkaliśmy nie przedruk, ale uzupełnienie, rzeczywiście dobrze umieszczone i niezbędne w takich podręcznikach.

Następnie zastanawia się szanowny autor nad kwestją filologiczną i historyczną dotyczącą pochodzenia Hucułów. Jestto niewątpliwie najtrudniejsza do rozstrzygnięcia rzecz, napewne orzec: zkąd się wzięli, a względnie zkąd przyszli Huculi? Jeśli gdzieindziej *) nie zgodziliśmy się na przeróżne przypuszczenia ks. Sofrona Witwickiego (którego autor zbyt surowo osądził), to nie podzielamy również zdania p. Gregorowicza, jakoby Huculi byli zbiegami przed poborem wojskowym około r. 1600., ponieważ za czasów Rzeczypospolitej nie znano żadnych branek, a tworzenie teorji w rodzaju drugiej kozaczyzny na Czarnohorze, zostanie chyba błahą hipotezą.

Najcenniejszą część rozprawy p. Gregorowicza stanowi końcowy ustęp o zwyczajach, ubiorach, poezji itp. Hucułów. Widocznie wżył

*) W naszem dziele p. t. «Wspomnienia Czarnohory.» Warszawa 1880.

się pisarz w tamtejsze stosunki, dokładnie poznał dodatnie i ujemne stony mieszkańców Czarnohory, skrzętnie spisywał ich przysłowia, śpiewki i dumki, osobiście oglądał obrzędy cerkiewne rodzinne i okolicznościowe, kiedy z taką dokładnością o nich mówi. Spodziewaliśmy się zamiast mniej interesującej historji o opryszku Drabyruku, który przed dwoma laty zginął w Kolomyi na szubienicy, starej opowieści o Doboszu, tym ideale hulaszczych synów z nad Czeremoszu. Jakkolwiek i pod względem formy, języka i składni wieleby dało się zarzucić temu dziełku, oceniamy je życzliwie jako wielce pożyteczne i pouczające. Samodzielność jest jej główną ozdobą; zapał do huculskiego żywiołu i zamiłowanie krainy Czarnohorskiej skłoniły p. Gregorowicza do niniejszej publikacji, która zapewne nie będzie jego ostatnią pracą. Cel autora, aby opisując okolicę Żabiego zwrócić prąd turystowski częściowo na Czarnohorę, w zupełności mu się udał, nam pozostaje wyrazić nadzieję, iż w bliskiej przyszłości opisane przez p. G. strony tak gwarnie się zaludnią, jak w bieżącym roku Tatry i Zakopane.

M. T.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Ostatnie lata* dziejów powszechnych od roku 1846 do dni dzisiejszych. Wydanie drugie poprawione i uzupełnione, 8ka, str. 253. Lwów 1881. 2 zł. 50 ct.

— *Pamiętnik fizjograficzny*, wydany staraniem E. Dziewulskiego i dra Znatowicza tom I (Dział I. Meteorologja i Hidrografia. — Dział II. Geologja z chemią. — Dział III. Botanika i zoologja. — Dział IV. Antropologia. — Dział V. Miscelanea) 4to. str. 463 i 16 tablic rysunków. Warszawa 1881. 11 zł. 25 ct.

— *Pieśni spiewaka* z nad Dniepru. 8ka, str. 194. Lwów 1881. 1 zł. 80 ct.

— *Prokop O. kapucyn.* Czytania majowe o cnotach Marji. Wydanie drugie. 8ka, str. 119. Kraków 1881. 25 ct.

— *Protaszewicz Bończa Stanisław.* Broń przeciwko germanizacji ziemi słowiańskiej. 8ka, str. 32. Warszawa 1881. 32 ct.

— *Rembieliński Antoni.* Salamon Majmon. Przyczynek do dziejów filozofii w Polsce. 8ka, str. 56. Warszawa 1881. 48 ct.

— *Sales Wiktor.* Najnowsze tajemnice Paryża czyli sceny ostatnich dni trwogi. Romans historyczny 2 tomy. 8ka, str. 689. 338. Lwów 1881. 4 zł.

— *Scherr Jan dr.* Historja literatury powszechnej według szóstego wydania oryginału niem. przełożona, w osobnych przypiskach uzupełniona i w dziale literatury słowiańskiej znacznie pomnożona przez Bronisława Zawadzkiego tom I zeszyt II. str. od 161 do 320. Warszawa 1881, z policzeniem za całość. 7 zlr. 50 ct.

— *Schweigel-Lerchenfeld.* Życie kobiet na ziemi. Z wieloma illustracjami. Zeszyt I do IV. 8ka, str. 184. Warszawa 1881. (z policzeniem za całość) 6 zł. 75 ct.

— *Skiba Maksymilian.* Przewodnik hodowli bydła rogatego. 8ka, str. 63. Lwów 1881. 35 ct.

— *Śmiech i satyra.* Szkice humorystyczne. Warszawa 1881. 3 zł. 5 ct.

— *Smilles Samuel.* Obowiązek (Duty) przekład Adolfa Dygasińskiego. Zeszyt I. 8ka, str. 82. Warszawa 1881. Z policzeniem za całość 2 zł. 25 ct.

— *Smocza Jama.* (Bruszura polityczna). 8ka, str. 24. Poznań 1881. 30 ct.

— *Spasowicz Włodzimierz.* Studja nie z natury. (Wł Syrokomla, Marjan Matusiewicz, jako pamiętnikarz. — Wincenty Pol jako poeta. Szekspirowska historja tragiczna o królewiczu duńskim Hamlecie.) 8ka, str. 378. Wilno 1881. 2 zł. 25 ct.

— *Strumiłło Józef.* Ogrody północne. Wydanie siódme przerobione i pomnożone przez Wł. Tynieckiego tom II. (z drzeworytami) zawiera: Ogród warzywny oraz rośliny lekarskie. 8ka, str. 290. Wilno 2 zł. 25 ct.

— *Tarczyński Hip Bog.* Smok we wsi czyli strach ma wielkie oczy, ucieszna historja dla ludu miejskiego i wiejskiego. 8ka str. 33. 20 ct.

— *Wajgiel Leopold.* Obrazki z przyrody, 2 tomy, 8ka, str. 118 96. Lwów 1881. 1 zł.

— *Wernic Henryk.* Metodyczna gramatyka wraz ze stylistyką. Składnia. Dział I. O zdaniu pojedyńczem (prostem) rozwiniętem i zdaniu ściągniętem. 8ka, str. 108 Warszawa 1881. 60 ct.

— *Wernic Henryk.* Wychowanie dziecka włącznie do 6ciu lat. 8ka, str. 71. i XIII. Warszawa 1881. 60 ct.

— *Zaleska M. J.* Listki i ziarnka. Powiastki, opowiadania i rozmówki zawierające najpotrzebniejsze wiadomości do pojęcia dzieci zastosowane. Wydanie drugie z 8ma kolor. rycinami. Warszawa 1881 2 zł 55. ct.

— *Zieliński Wł. K.* Anna Orzelska. Powieść na tle historycznem osnuta z czasów Augusta II. tom I. II. (w jednym) 8ka, str. 116. Lwów 1881. 2 zł.

— *Życie św. Genowefy.* Napisane dla matek dzieci i poczciwych ludzi. 8ka, str. 88. Wilno 1881. 25 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Znany i ceniony poeta p. J. S. Chamiec wydał znowu w Paryżu elegancki tomik utworów poetycznych p. t. „Piosnki Jesienne.“ O poezjach tych, z których wiele było drukowanych w „Tygodniu Polskim“, pomówimy wkrótce obszerniej.

*** Pieśni Godziemby, „Echo z za Tatr i Karpat“, tom II, zawierający wiele poematów tak oryginalnych jak i naśladowanych i przełożonych z węgierskiego, ukazały się na widok publiczny.

*** Nakładem redakcji „Pracy“, wyszła z druku w oddzielnej odbitce broszura, p. t. „O Pracy, książeczka dla robotników.“

*** Wyszła z druku interesująca dla gospodarzy wiejskich książeczka, p. t. „Indeks grzechów katastralnych“, napisana przez właściciela gruntu.

*** Poezje ojca świętego.

Dla chcących poznać poezje ojca świętego pisane po łacinie podajemy do wiadomości, że wyszły one w przekładzie włoskim, dokonanym przez Piotra Silorato.

Książeczka sprzedaje się już w Warszawie.

*** Czasopismo poszytowe „Revista de Ciencias Historicas“ obejmuje wzmiankę pochlebną o działalności naukowej prof. Pawińskiego i wiadomość bibljograficzną o wydawnictwie Źródeł dziejowych.

*** W rosyjskiej illustracji znajduje się oryginalny rysunek Pileckiego (podług obrazu olejnego) przedstawiający „Goplanę, wychodzącą z wody.“

Drzeworytnik oddał wiernie pierwotwór, do którego pomysłu dostarczyła „Balladyna“ Słowackiego.

Przytem znajduje się obszerny artykuł o naszym pisarzu.

*** Proszeni jesteśmy o zawiadomienie tych, którychby to interesować mogło, że najnowsza nowella Jerzego Ebersa p. n. "Eine Frage, Idyll zu einem Gemälde seines Freundes Alma Tadema“ — już się tłumaczy na język polski w Warszawie.

*** Dochody autorów.

Dwieście przedstawień w paryzkim teatrze Palais Royal komedji pp. Sarodou i Naja p. t. *Divorçons!* przyniosło kasie teatru 935.177 fr., to jest średnio po 4.676 fr. na każdy wieczór.

Ponieważ autorowie otrzymują jako wynagrodzenie 12 procent od dochodu *brutto,* przeto szczęśliwi autorowie tej sztuki zarobili przez trzy miesiące i dziesięć dni po 56.110 fr., czyli, że autor, którego sztuka ma powodzenie, jeżeli ją sam napisał, może mieć rocznego dochodu od 3 do 400.000 fr., to jest więcej, niż wynosi płaca sześciu ministrów.

Społeczne i ekonomiczne.

*** W londyńskim Agricultural-Hall otwarto właśnie oryginalną wystawę.

Jest to międzynarodowa wystawa wstrzemięźliwości, mogąca każdego przekonać najdowodniej, iż stronnicy niepicia likierów alkoholicznych gorliwie pracują nad wynalezieniem napoju, któryby zastąpił dotychczas używane różne trunki fermentujące.

Obecna wystawa nastręcza sposobność do bezpłatnego kosztowania wystawionych produktów, gdyż zwiedzający usilnie są do tego zapraszani.

Promotorem wystawy jest pastor Ellison, który też wypowiedział mowę inauguracyjną.

*** Pomiędzy lekarzami we Francji powstała dyskusja, czy nie jest zdrowiej chodzić z odkrytą głową i czy używane przez nas kapelusze nie są szkodliwe?

Już w starożytności Herodot przytaczał, że Egipcjanie zdrowsi są od Persów, dla tego, że głów nie przykrywają.

Tego samego zdania był Juljusz Cezar i chodził z gołą głową...

W materji tej ma się odbyć uczona konferencja.

*** Emancypacja naukowa kobiet nie jest myślą tak nową, jakby się zdawało.

W 1286 r. młoda i piękna Biticja Gocadoni, odbywszy pomyślne egzamina w Bolonji, pozyskała stopień uczony dra medycyny.

Chodziła ona po męzku i grywała w kości...

*** Ludzie nie lękający się wielkości cyfr doszli do obliczenia, że we wszystkich krajach Europy zużywa się dziennie dwa miljardy zapałek i że na fabrykację tych tak niezbędnych drewienek potrzeba rocznie 400.000 metrów sześciennych drzewa i 410.000 funtów fosforu...

Zważywszy cyfrę konsumcji, o której wyżej wspomnieliśmy i obliczając, że potrzeba przynajmniej jednej sekundy, żeby wziąć zapałkę i potrzeć, dochodzimy do przekonania, że ludność Europy poświęca dziennie na pocieranie zapałek 555.555 godzin, to jest 63 lat, 5 miesięcy, 2 dni, 7 godzin i 20 sekund !!!

Z Drukarni „Gazety Narodowej“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.